Ner 4. Kraków 26 stycznia 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *Hercoka* na Halickiém.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można przez księgarnią Fr. Grzybowskiego w Krakowie — a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

O WYCHOWANIU KOBIETY
odpowiedniém jéj stanowisku i powołaniu

podług

Dr. Rudolfa Wirchofa.

(Ciąg dalszy.)

Gdyby się to stało prawidłem, gdyby usiłowano przeprowadzić emancypacyją kobiety, do czego od czasów rewolucyi francuzkiéj tu i owdzie dążono, to mogłoby się stać jedynie kosztem rodziny i to z wielkim jéj uszczerbkiem. Tego nie zaprzeczali nawet konsekwentni myśliciele, zajmujący się tém zadaniem. Rozkład rodziny, zbiorowe wychowanie dzieci od najpierwszych początków. — wszystko to byłoby wtedy koniecznem następstwem emancypacyi kobiety.

Szczególniejszy sposób konsekwentnego wprowadzenia w życie pojęcia wolności! Ale nie zapominajmy o tém, że o ile kobieta zyskałaby nie tyle na wolności, jak na luźności, o tyle dziecko poniešćby musiało uszczerbku. Wszelkie bezpieczeństwo indywidualnego rozwoju, na którym jedynie spoczywa poczucie osobistości i odpowiedzialności i poręka niepodległości, porządku i wolności, trzeba wtedy poświęcić i utopić w zbiorowém wychowywaniu dzieci. Jakże byłoby z przyszłością całego ludzkiego rodzaju, gdyby się urzeczywistniła owa swawolnie wymyślona, a przecież tylko pozorna wolność kobiety.

Lecz może mię kto zapytać, czy istotnie jest to jedynem powołaniem kobiety, być żoną i matką? Zaiste nie. Nie jedna przecie niewiasta nie jest żoną i matką, a jednak nie może tego powiedzić, aby jéj powołaniem było, zostać starą panną. Los człowieka nie jest jego powołaniem! Jedynym celem żony i matki nie jest przecież, aby właśnie tylko żoną była i matką. Niejednéj kobiecie dostały się w udziale środki, jakiemi wpływać może na losy ludzkości, a o zdolnościach kobiety do takich ogólniejszych działań, wątpić nawet nie chcemy. Niechaj zbada się każda, czy ma zdolności do tego; stan nowszego towarzystwa już po części stworzył ową miarę indywidualnéj wolności, zresztą będzie to naturalnym wynikiem dalszego rozwoju, że i rodzaj żeński wziąść może samodzielnie należyty udział w rozwiązaniu ogólnych zadań rodzaju ludzkiego.

Po wszystkie czasy nikt jednak twierdzić nie będzie, aby powołaniem istotném kobiety w ogólności być miało występowanie na targu życia publicznego i udział w czynnych zatargach dnia każdego. Istotne powołanie wypływa z ustroju wrodzonego, a każdemu wiadomo, że organizm kobiecy więcéj jest zbliżonym do dziecęcego niż męski. Dla tego zatrudnienie pojedyńcze, łatwiejsze i delikatniejsze będzie dla kobiety odpowiedniejszém, a tém jest przeważnie zajęcie się domem, chociażby nawet nie własnym. Gdyby kobieta była nawet niezamężną i bezdzietną, zawsze będzie ona stać na straży ogniska domowego i będzie się opiekować wszystkiemi z tém połączonémi troskami; podjąwszy się nawet najcięższych i najwyższych spraw ludzkości, zada kłam swojemu niewieściemu jestestwu, jeżliby porzuciła ogniwa łączące ją z domem i rodziną. Biorąc nawet żywy udział w zatargach życia publicznego, mięszając się do roztercк mężów, wszelako strzedz powinna domu jako miejsca zgody, będącego zarazem poświęconém schronieniem, gdzie uczucia pokoju przynajmniéj dla pokoleń przyszłych zachowane być mają. W téj to właśnie myśli wzniosłéj, przyznawała religija starych Rzymian westalkom najwyższe zaszczyty.

W owych czasach wystarczała czystość i niewinność, aby do takich dojść zaszczytów. Dla nowoczesnéj niewiasty jest to niewystarczającém, a to tém mniéj, im prędzéj postępuje rozwój ducha ludzkiego w wiadomości pozytywnéj. Obowiązki jéj powołania stają się o wiele trudniejszemi; dlatego wychowanie kobiety musi być doskonalsze, jeżeli od niéj żądamy, aby w rozwoju narodu wywierać mogła wpływ wielki na dzieci i męża; w sposób jak najobfitszy w skutkach swoich.

Lecz po wszystkie czasy wychowanie kobiety było właśnie najniedokładniejsze. Starożytność nie mogła w swoim kierunku dać kobiecie właściwego i korzystnego stanowiska. Chrześcijaństwo przyjmując kobietę do gminy, przekazało jéj najprzód pracę czynnéj miłości, staranie o ubogich i chorych. Jednak o właściwe wychowanie nie dbano. Dopiero bardzo późno, kiedy kościół począł przybierać formy hierarchiczne, szkoły

klasztorne przyciągały do siebie młodzież żeńską, i tak powstały żeńskie kongregacyje, zajmujące się nauczaniem. Nauka ta była po większéj części religijno-dogmatyczną, mniéj zaś praktyczno-ekonomiczną, a już najmniéj intellektualną. Taka nauka nie przynosiła korzyści ani rodzinie, ani państwu, lecz tylko kościołowi.

(Ciąg dal. nast.)

OPOWIADANIE CIOTUNI.

(Powieść z życia.)

(Ciąg dalszy.)

Tak przeszło dwa lata; Antosia jak nikomu, tak też i mnie nigdy żadnych uwag nie robiła. I byłabym tak leciała może nierozważna wśród śmiechów i żartów miękko usłaną drogą aż na rozdroże, gdzie załamawszy ręce ze zgrozą się widzi, ile się kwiatów ducha w téj podróży zgubiło — a nowa ścieszka, która się przedstawia bez nich tak pusto i martwo, iż naprzód odwagę do siebie odbiera. Ale tam w niebie snać modlili się za mną święci rodzice moi. Im to winnam, że do tego grona szalonego, w którém jednak jedna cnota wysoko piastowaną była — cnota, a raczéj powinność miłości swéj ziemi — przybył jeden z tych ludzi świętych myślą ofiary dla kraju. Z niebezpieczeństwem życia, z zupełném zaparciem się siebie pracował on dla wielkiéj idei. Pociągnął mnie za sobą słowem i przykładem. Z ust jego słyszałam nowe — bo dawno zapomniane wyrazy: praca, miłość, poświęcenie. I stałam się znowu cicha i spokojna — i świat mi się znowu inaczéj przedstawił — nie jak arena czasów pogańskich, gdzie każden tylko dla siebie i za siebie — ale jak pochód na górę Golgota, zkąd błyszczy znamie prawdy i miłości.

Czym go kochała — nie wiedziałam o tém. Ja pragnęłam tylko jego uznania, bo czułam, że szacunek, jaki mi okazuje, podwyższa mnie i uzacnia. Zdawało mi się więc, że to nie miłość; dopiero gdy spostrzegłam, że Dosia, najstarsza z sióstr, zajęła się nim — w zwierciedle zazdrości zobaczyłam dopiero, że go kochałam. Dosia prześladowała mnie tém, ale mało mnie obchodziły jéj docinki — mało zważałam na nią, zwrócona myślą więcéj w głąb méj duszy, gdzie dwie najpiękniejsze miłości splotły się z sobą. On powierzał mi swoje plany i myśli.

W długich naszych pogadankach o tém co nas najwięcéj obchodziło — uczestniczył najczęściéj i mąż Antosi. Piękne myśli męczennika wolności i na nim oddziałały — poruszyło się serce — otrząsł się ze swéj apatyi — układał plany działania i zaczął działać niezwłocznie. Działać nie można było inaczéj, jak w największéj tajemnicy. Téj tajemniczości użyła Dosia, aby zgubić rywalkę i pozbyć się jéj. Chcąc przerwać nasz stosunek, udała się do scen i potwarzy, a robiąc mię intrygantką, podkopującą jéj szczęście — narzekając na mnie przed bratem i bratową — strzegąc niby sławy domu — rzuciła na mnie najohydniejsze podejrzenie — jakobym — bałamucąc pozornie tego, do którego się ona przywiązała, w istocie jéj brata kochała.

Oburzenie mowę mi odebrało, — gdym pytała o zmianę postępowania Antosi — zbyt widoczną od niejakiego czasu, w strasznych wyrzutach dowiedziałam się o co mnie posądzają. Napróżno tłomaczyć się chciałam — dumnemi słowy powiedziała mi: iż tak roztrzepane kilkoletnie postępowanie moje nie daje jéj żadnéj rękojmi mego charakteru — i że żałuje chwili, w któréj do jéj domu przybyłam, w którem tyle przykrości, zmartwień i niechęci wnieść umiałam.

Po zmianie, jaka była teraz w méj duszy, dawniejsze zachowanie moje i mnie się niepodobało, z pokorą więc słuchałam tych wyrzutów, uważając je za słuszną karę nierozważnego postępowania. Ale to zapoznanie mego charakteru od téj co mnie od lat tylu znała — ta niewiara we mnie, do łez mnie poruszyła i łzami jéj tylko odpowiedziałam.

Tak smutną i zapłakaną zastał mnie dobry geniusz mego życia.

— To nie jest miejsce dla ciebie, powiedział. Źle mówią, że kobiety nic działać nie mogą. Władza ich potężna, choć w szczuplém kole zakreśloną być musi. Działać na umysły młode i niedoświadczone — być blaskiem co cienie rozświeca — oto ich przeznaczenie i ich praca. My giniemy dla wielkiéj idei — czyżby żyć dla niéj było nad siły kobiety? Żaden głos marnie nie przebrzmi po świecie — żadna — acz najmniejsza praca nie jest ofiarą daremną. Na drogę, którą mężczyzna zmierzył rozumem — kobietę tam uczucie prowadzi....

I mówił, mówił długo jeszcze — a ja tak pokorniałam pod jego słowami — a razem tak się czułam wzniesioną w duchu — tyle w nim czułam chęci do poświęcenia się, do stania się godną tych zasad wielkich, w imie których do mnie przemawiał.

— Mam siostrę, zawołałam — siostrę niebogatą — z mnóstwem dziatek, jéj pojadę pomagać w ich wychowaniu!...

— Gdzie?

— Na Ukrainę.

— Dobrze! Tam jest pole do pracy — tam w wypełnieniu przyjętych obowiązków znajdziesz uspokojenie myśli i ducha. I ja jadę — jadę na pole pracy krwawéj — ale da Bóg pożytecznéj. Czy tu się obaczemy? niewiem — ale tam — rzekł, wskazując na niebo — duchy nasze dziś jedną myślą przejęte — tam się złączą — jeśli siebie godni zostaniemy....

Ja stałam w milczeniu, patrząc w niebo zkąd mi nadzieja wiecznego szczęścia błyskała. A więc do widzenia! — rzekłam, podając mu rękę.

— Na pracę — na pożytek ludzi — na prawdę Bożą — daj nam Boże wytrwanie.

A na pociechę — wspomnienie, dodałam.

Ciotunia, która to drżącym, wzruszonym głosem mówiła, umilkła chwilę — usta jéj tylko czasem się poruszały, jakby szeptem modlitwy lub tłumioném wzruszone westchnieniem. Mnie tak żal jéj było — tak żywo odczuwałam ból jéj serca z rozłąki — z niesłusznego podejrzenia pochodzący, że mimo wiedzy prawie usiadłam na ziemi przy jéj nogach — i rękę jéj gorącemi pocałunkami okrywałam. Ojciec stukał laską o kamienną ganku posadzkę, co zawsze było u niego znakiem nieukontentowania i zadumy.

Ciotunia jakby zbierając wspomnienia, mówiła daléj:

— Ukraina! Ziemia przebrzmiałéj sławy i piosnek ludowych! Ziemia nietylko mlekiem i miodem płynąca, lecz strumieniami łez i krwi żywéj przesiąkła do wnętrza! dziedzictwo rusałek Bohdana — piastunka mogił i krzyżów stepowych! Och! jakże mi się piękną — jak uroczą wydała, gdym ujrzała jéj stepy ukwiecone jak najpiękniejszy kobierzec, a wydające woń tak balsamiczną i orzeźwiającą, iż zdaje się, że z każdém odetchnieniem piersi nowe jéj zdrowie i siła przybywa. I myśl się orzeźwia wśród tych przestrzeni bezgranicznych — i wśród woni tych ziół i kwiatów — wśród tego bezmiaru samotnego przyrody, niezakreślonego zda się dłonią człowieka niczém — niczém, bo dnie długie można błądzić na tych stepach, nieznajdując ni wioski, ni chaty, ni nawet lasku żadnego, coby w swe ramy ujął i zakreślił widome granice téj nieskończoności; myśl ożywiona zda się także dążyć w nieskończoność i wśród swobody natury — dla siebie żądać swobody!

Ukraina! czarowne słowo! Dość je wymówić, a wyobraźnia wnet snuje przeszłości obrazy! Z burzanów mkną konie i rycerze — błądzą po stepie Tatary — Dniepr prują czajki kozackie. Wiatr niesie skargi podsłuchane u mogił — a do około w tęczowéj przezroczy pląsają rusałki-czarodziejki!... I mnie, gdym czarnym szlakiem na nią wjechała, zapanowała Ukraina czarem swych wspomnień. Gdym przejeżdżała koło wielkich pomników sławy, koło mogił stepowych, co na téj równéj płaszczyznie jeszcze się większemi i wspanialszemi wydają — nietylko przeszłości święciłam westchnienie — ach i przyszłość mię w zadumę wprowadzała! I nie pytałam mogił jaką pieśń żalu szepczą — ale gorąco błagałam Boga, by one dla nas nauką się stały — i by na téj niwie, co kiedyś bogatym plonem ma się ozdobić — mnie choć jedno ziarnko zasiać — choć jedną garść konkolu wypleć wolno było!

Wyjechałam z domu Antosi — gdzie w nowém mém usposobieniu ducha wszystko mi obce i cudze się zdawało — wyjechałam bez żalu w sercu za nikim — ale i bez gniewu do nikogo — bo z duchem ofiary spływa i moc przebaczenia. Żal mi było tylko Antosi i jéj męża — że te dwie piękne dusze tak usposobione czuć i pojmować piękno prawdziwe, za leniwe były rozwinąć skrzydła ducha, któreby ich wysoko unieść mogły — i wolały deptać z rozkoszą po nikłéj uciech przestrzeni.

Do siostry napisałam, ofiarując się pomagać jéj w wychowywaniu dzieci — i poświęcić moje małe zasoby umysłowe. Uśmiechała mi się nadzieja, że będę komuś pożyteczną, że zdam się przecie na coś na tym świecie — gdzie praca jest powinnością, że dalszém życiem czynném okupię tę lat parę w bezmyślnéj przepędzonych rozrywce — i postępowaniem swojém stanę się godną serca wielkiego, co mnie duchem podniosło, a przykładem nauczyło życie na seryjo pojmować.

Z radością więc odebrałam list jéj, wzywający mnie czule, serdecznie. To też wkrótce po jego odebraniu już byłam w drodze i z niecierpliwością wyglądałam kresu podróży, gdy nagle w środku stepu — jak niespodzianka — jak bukiecik większy rzucony wśród téj obfitości zboża i kwiecia — ukazał mi się lasek ogrodów — między ich zielonością błękitna wstęga Dniepru, bielejące się chaty — i bielszy i większy nad nie — dom méj siostry.

Z bijącém sercem zajechałam przed ganek. Przypomniałam sobie w téj chwili rodziców moich, życie w kółku cichém — rodzinném — dziatwę, którą pragnęłam sercem sobie przyswoić — przeszłość i przyszłość — nadzieje i wspomnienie — tłoczyły mi serce, łzami oczy zalewały. Z pospiechem wybiegłam z powozu, zanim jakiś otyły, szpakowaty jegomość zdołał zejść ze schodów, by mi rękę podać — z pospiechem zapytałam o Emilkę (to było imie siostry mojéj), — gdy wtém ujrzałam ją wychodzącą. Ciemne przypomnienie z lat dziecinnych dało mi ją poznać — pobiegłam ku niéj, wołając: „Siostro“! — Ona wyciągnęła ręce do mnie — i długi uścisk był serdecznem zapoznaniem.

Emilka przedstawiła mi swego męża Pietrusia. Był nim ten sam łysy, gruby, szpakowaty jegomość, co mnie pierwszy zdybał na schodach.

— Konie do stajni — rzekła Emilka do sługi — a zmęczonym niech wody nie dają. Rzeczy pani tymczasem poznosić do pokoju.

— A może lepiéj do oficyn? tam pokój porządny — mąż się odezwał.

— Już mnie to zostaw — wiem co robię — odpowiedziała Emilka — dopilnuj tylko, by co z rzeczy nie zginęło.

I wziąwszy mnie za rękę, wprowadziła do wnętrza domu. Usiadłyśmy obok siebie, wspominając przeszłość ubiegłą i przyglądając się sobie po raz pierwszy prawie w życiu — bo po raz pierwszy widziałyśmy się w latach pojęć i rozumu.

Ale to daremna. Jeśli w wieku dziecinnym nie zawiążą się rodzeństwa serdeczne stosunki, nie rozwiną się już one nigdy w całéj swéj lubéj potędze — bo na

straży przed niemi w miejscu miłości, rozwaga zasiędzie. Tak i my, tyle lat życia przebywszy osobno — nie znając swych charakterów ni usposobień — badałyśmy prawie siebie za każdém słowem, za każdém spojrzeniem. Niewiem jakiem wrażenie zrobiła na niéj, ja nią cieszyłam się bardzo.

Emilka była to jeszcze młoda i bardzo ładna kobiecina. Wzrost jéj był drobny i kształtny, twarz biała i rumiana, włosy ciemne, oczy siwe bystro i żywo czasem patrzące, a czasem jak gdyby smutkiem jakim przyćmione, tak, że od tego zmiennego połysku oczów i twarz prawie ciągle inny przybierała wyraz. Uśmiech tylko łagodny, ujmujący, nigdy ust jéj nie opuszczał. Wydała mi się bardzo żywą, choć ruchy jéj były spokojne, prawie powolne.

— Lękam się jak ci się wyda nasze zacisze po pańskich salonach Antosi — mówiła sadzając mnie na niewykwintnéj, ale bardzo porządnéj kanapie w bawialnym pokoju, urządzonym skromnie lecz bardzo czysto i schludnie. — U nas tyle pracy a tak mało rozrywek....

— Och, Emilciu, to wszystko czego pragnę. Być użyteczną tobie i twoim, zasłużyć na wasze przywiązanie, znaleść odpoczynek dla serca, oto są wszystkie moje życzenia. — A przy tém tak tu u was miło, spokojnie, rodzinnie....

— Będziemy się starać, by ci tu dobrze było — odpowiedziała z pełnym dobroci uśmiechem. A teraz muszę cię zapoznać z twemi siostrzenicami, kazałam je wszystkie razem posprowadzać, byś od razu ze wszystkiemi zrobiła znajomość.

Spojrzałam na drzwi — a przez nie już wchodziła gromadka dzieci podług wieku posortowana. Na ich czele ładne — może trzynastoletnie dziewcze — istny obraz matki, ale coś bardziéj rezolutnego, coś pewniejszego siebie przebijało w rysach twarzy i całéj postawie — a złote włosy w drobne łoczki poskręcane i niedbale wokoło twarzy spadające, figlarno-impertynencki wyraz jéj nadawały.

Z tym wyrazem fizyonomii przystąpiła do mnie i niski ukłon mi oddała.

— Ciocię się w rękę całuje! przemówiła matka cicho lecz stanowczo. To Wandzia — dodała — zwracając się do mnie.

Wandzia spojrzała na mnie, to na matkę, znów na mnie — jakby ociągając się — niechętnie. Lecz nie dałam jéj czasu wykonać aktu posłuszeństwa i uściskałam serdecznie sama moją najstarszą siostrzenicę.

— To Zosia, Andzia, Tońcia, Frania, Mania, Julcia, wypowiedziała przy przedstawieniu każdego z ośmiorga dzieci — bo niestety! było ich ośmioro. I ta sama ceremonija uścisków i ukłonów powtórzyła się razy ośm.

— A to nasza Bogutka — rzekła biorąc z rąk niańki może roczną dziecinę, która spostrzegłszy matkę, do niéj się naparła.

Nachyliłam się i ja do maleńkiéj, która leżąc na kolanach matki, swoje duże czarne oczka na mnie wypatrzyła ciekawie — a chcąc ją zniewolić ku sobie, wyjęłam z za paska zegarek i pokazałam go jéj — w jednéj chwili z rąk matki przeszła na moje i już w najlepszém byłyśmy porozumieniu, gdy pan Pietruś wszedł do pokoju.

— Ha! ha! a cóż to ja widzę — nasz Benijaminek już nową zabrał znajomość? Milciu! a jakżesz tak można, jeszcze pomnie suknie siostrze, albo...

— Już ja cię proszę nie wtrącaj się do tego — ja wiem lepiéj na co mam pozwalać.

— Ale bo może siostra zmęczona, toby się herbaty napiła — każ Milciu podać.

— Herbata będzie jak się zrobi — już tylko ty mi nie przypominaj.

Chcąc zakończyć spór, któren mię zadziwiał — a którego przeciągnienia lękałam się — upewniłam, żem nie głodna — a zarazem spytałam o moje rzeczy — ponieważ wiedząc, iż znajdę tu liczną drobną rodzinę, przygotowałam dla nich różne drobnostki.

— To było zupełnie niepotrzebne, powiedziała Emilka — ale dziękuję ci — rób jak chcesz — ja tymczasem zajmę się gospodarstwem.

— O! z za granicy! z zagranicy prezenta! zawołał pan Piotruś — to dopiero będzie ładne — chodźcie! chodźcie dzieci!

I całym tuzinem — co mówię — było nas tam daleko więcéj — bo i pan Piotruś — i dzieci i niańki — i jakieś małe i większe służebne dziewczątka — poszliśmy ku moim walizom. Za każdym razem, gdy co nowego się ukazało — okrzyk radości z ust dzieci — zdziwienie z ust pana Piotra słyszeć się dawało. Ale moja figlarna blądyneczka równą z ojcem zdawała się mieć dozę ciekawości — każda moja sukienka przez ich ręce przeszła — każden gracik był zauważany — z tą tylko różnicą, że Piotruś chwalił wszystko — Wandzia nie na wszystko zadowolnioną miała minkę.

— A wy tu po co? ozwał się stłumiony głos za nami — Marsz! Zwróciliśmy się ku drzwiom — stała w nich Emilka z gestem rozkazującym — z uśmiechem na ustach. W téj chwili służebne zniknęły.

— Dzieci do roboty! do nauki!

W jednéj chwili dzieci już w pokoju nie było.

— Proszę was na herbatę — odezwała się Emilka łagodnie.

— Ale patrzno Emilciu, co tu różności — popatrz jak to wszystko inne za granicą niż u nas.

— Ach! dajże mi pokój Piotrusiu! ja to jeszcze zobaczę. Ot! wolałbyś pójść się dowiedzieć, czy już posłaniec z miasta powrócił.

— Ach! Boże! Boże! Boże! pozwolił sobie westchnąć małżonek, a położywszy szkatułeczkę w ręku trzymaną, skierował się ku drzwiom.

Musiałam mieć bardzo zadziwioną postać — bo Emilka zwróciwszy się ku mnie z tym uśmiechem wiecznie na ustach przyrosłym, powiedziała jakby na tłómaczenie:

— Poczciwe to człowieczysko ten mój Piotruś — ale to najstarsze z moich dzieci — zawsze go upominać potrzeba. (Ciąg dal. nast.)

NOC KARNAWAŁOWA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Silny wicher trzęsie suchym borem —
Psy zawyły przeciągle za dworem,
Jakby nieszczęść przeczuwały dużo —
Oj nie dobrze psy tém wyciem wróżą.
Zatętniły w alei kopyta
Spiesznym taktem — starzec wraz się zrywa,
Niespokojnym wzrokiem ciemność pyta:
Kto w tę porę do dworu przybywa.
Koń galopem zaleciał przed ganek...
Poznał konia — to syna kasztanek,
Ale syna nie zobaczył swego; —
A koń drugi niósł sługę starego.
Starzec spiesznie ku drzwiom przypada,
I nim sługa słowo rzeknąć zdołał —
„Gdzie jest Zygmunt?“ — starzec nań zawołał —
— „Panicz zginął“ — sługa mu powiada.
Słyszeliście z jakiemi jękami
Spada ziemia na wieko od trumny?
Z takim jękiem upadł starzec dumny
W krzesło i twarz zasłonił rękami,
I nie męzkie łzy, co ciekły strugą
Z ócz przez palce, chciał zakryć przed sługą.
I tę dumę połamaną z bolu.

III.

Na rozstajnych drogach karczma w polu
Krzywa, licha, — blask w okienkach krwawy —
W izbie pełno hałasu i wrzawy —
Skrzypki słychać — Dziwnie się wydało
Skrzypków granie z wesołością całą
W onéj nocy strasznéj, zasmuconéj
Skargą duchów, szmerem krwi czerwonéj;
Urągała z bólów radość ona,
Niby ślina na trupa rzucona.
Jakież dziwne, fatalne przemiany!
Dawniéj w dworach bawiły się pany,
I kuligiem szaleli w zapusty,
Dzisiaj z trwogi pobladłemi usty
Proszą, jęczą, rozstając się z życiem
Na kós ostrzach, pod cepów nakryciem.
A lud, który w ucisku lat tyle
Przeżył, milcząc w ponuréj żałobie,
Wstał karnawał dziś wyprawić sobie,
I pohulać na panów mogile.

Piją w karczmie co gardło wytrzyma,
Kilka starych bab po izbie chodzi —
Jeno dziewek coś do tańca nie ma —
Więc nie tańczą, jeno krzyczą młodzi
Aż drży karczma; — w kącie radzą starzy —
Oj coś złego patrzy ludziom z twarzy.
A śnieg mokry w szyby karczmy dzwoni,
Niby duchy z cmentarnéj ustroni,
Przychodzące błagać ich za témi,
Co się jeszcze zostali na ziemi.
Lecz wrzask ludu głuszy duchów jęki —
I zawyły znów dzikie piosenki:

(Śpiew.)

Grajcież skrzypki, hejże ha,
Niech tu Mosiek wódki da —
Wódki żydzie, dużo wódki,
Niech zaleję stare smutki.
Hejże ha, hejże ha!

Choć dziś próżny u mnie wór,
Lecz zapłaci pański dwór,
Bo wymłócę z pana duszę,
A pieniędzy dostać muszę,
Hejże ha, hejże ha! —

Na mogiłkach leży brat,
Co mu plecy zorał bat, —
Za te baty, to smaganie
Będziesz pięć dni konał panie —
Hejże ha, hejże ha!

Już nie będzie w chatach lud
Męczył pan i niszczył głód,
Inne czasy, wielkie zmiany —
Dwory w popiół — w trumnę pany!
Górą chłopy, ha! —

Wichru granie dzikim pieśniom wtórzy,
Lud się porwał jak wody po burzy,
Blask pochodni krwawo go oświéca.
I na pańskie poszedł do dziedzica.

(Ciąg dal. n.)

Z PRZYRODY.

Złoto. Srebro. Djamenty. Perły. Korale itd.

(Ciąg dalszy.)

Znaczna bardzo część produkcyi złota pochodzi z samego piasku: robota taka jest czysto mechaniczną; robi

się to za pomocą prostego płukania, przez które złoto w skutek swojéj ciężkości, oddziela się od innych ciał i pozostaje na spodzie. Natura sama już ułatwiła człowiekowi tę robotę przez rozdrobnienie, złoto jest tu pomięszane i potrzeba go tylko wybrać. Jeżeli nawet przy takiém płukaniu na większe natrafia się kamienie, to na nie nie zważają, doświadczenie bowiem przekonało, że bardzo rzadko w podobnych bryłach złoto się znajduje. Zapomocą więc płukania otrzymuje się złoto, a miejscowe okoliczności wskazują, czy się ta robota opłaca. W Abyssynii dla otrzymania jednéj marki złota, muszą płukać 1152 centnarów piasku. W Uralu w przecięciu płuczą 100,000 centnarów piasku, dla otrzymania marki złota. Piasku z Renu dla wynalezienia marki złota trzeba płukać 3,787,878 cent., a jednak choćby trzeba 4 milijony cent. piasku wypłukać na jednę markę, to jeszcze robota się tam opłaci. W Syberyi zaś nie opłaca się to, choć tylko dla takiéj saméj ilości złota trzeba płukać 500,000 cent. piasku, mimo że tamtejszy piasek jest 7½ razy bogatszy, jak piasek z Renu.

Płukanie takie w wielu miejscach robią po prostu rękami, w drewnianych miskach, skórkach z arbuzów lub nieckach. Wsypują w takie naczynia piasek, dolawszy wody, płuczą tak długo póki wszystek piasek nie odpłynie.

Woda jest koniecznie przy takiéj robocie potrzebną, i ztąd ta praca w Kalifornii z powodu braku wody bardzo była utrudnioną czas jakiś. Ażeby temu zapobiedz, porobiono stowarzyszenia, tak nazwane Drydigins, które wyżéj położone i zupełnie suche okolice zaopatrują w wodę. W skutek tego porobiono ogromne roboty wodne; pozakładano sztuczne jeziora, które zaopatrują wodą liczne kanały, lub też poprowadzono wodę prosto z rzek przez góry i doliny aż do miejsca kopalń. Ilość takich rozgałęzionych kanałów w r. 1858 dochodziła 1235 mil długości, koszta zaś nakładowe tych robót wynosiły 29 milijonów reńskich. Takie dopiero przedsiębiorstwa przyczyniły się do uregulowania produkcji złota, która przedtém co chwila się zmieniała. Jeżeliby ludność nawet się zwiększyła, umożebni to także roboty i w stronach mniéj obfitujących w złoto. Kalifornija posiada bowiem (choć niektórzy za przesadzone to uważają) wszędzie złoto w mniejszéj lub większéj ilości. W St. Francisco znaleziono złoto w piasku w studniach, w glinie z gór w skutek deszczu spłukanéj, a nawet i w kamieniach brukowych. I w niejednym kamieniu z bruku wyjętym, możnaby na pewne znaleść ziarnka złota.

Mimo jednak takiéj obfitości, nie wszystkim, których chęć prędkiego zbogacenia się w tamte zagnała strony, posłużyło szczęście; skarby te bowiem mogą być tylko osiągnięte ciężką pracą; którą nie każdy wytrzyma. I tak, w niektórych miejscach w Kalifornii w 15 stopach kwadratowych, znajdują wartość złota 60 tysięcy reńskich, w innych zaledwo połowę, lub też zaledwo czwartą część tego. Jakieś nadzwyczajne szczęście w szukaniu, jest bardzo rzadkiém. W zbiorach Petersburgskich jest bryła złota 72 funty ważąca, któréj nominalna wartość jest 43,125 reńskich a. Znalezione bryły w Australii i Kalifornii, nie doszły téj wielkości. Do roku 1852 największa bryła jaką znaleźli w Kalifornii, miała 15 funtów, wartości 4500 reńskich. W r. 1854 inna znów ważyła 22 funty, wartości 8349 r. w. a. W Australii 1853 r. największa bryła znaleziona ważyła 27 funtów, wartości 11,770 r. w. a. Jednakże zdarzają się dość często, szczególniéj w obwodzie Geelong bryły po 10 do 16 funtów.

Złoto pochodzące z wymycia nie jest czyste od przymieszek żelaza. Mimo jednak tego i takie idzie w obieg. W Kalifornii w r. 1850 tylko proszek złota był w obiegu, zamiast monety. Istotną wartość złota ocenić na oko, nie jest tak łatwą rzeczą, dlatego téż częste pod tym względem dzieją się oszukaństwa.

Ziarnka złota są rozmaite co do kształtu, wielkości i barwy; po większéj części okrągłe, albo płaskie, o ściętych brzegach, w skutek długoletniego tarcia o kamieniste łożysko dawnych rzek, których źródła dawno wyschły.

Otrzymywanie złota przez płukanie nie jest korzystne i z wielką połączone stratą, giną bowiem nietylko ziarnka złota zawarte w piasku i glinie, ale i te, które jako lekkie woda ze sobą porywa. Mianowicie strata ta tém jest większą, im obfitszy piasek. W Syberyi przekonano się, że piasek 131 razy więcéj zawiera złota, aniżeli go przez zwykłe płukanie otrzymać można. A zatem daleko jest korzystniéj piasek przez płukanie odebrać, a potém dopiero złoto, za pomocą rtęci (żywe srebro) otrzymać. Otrzymywanie takie uskuteczniają drewnianym tłuczkiem. Łącznik taki składowy ugniata się w skórzanym lub płóciennym worku, a rtęć wydziela się potém przez rozgrzanie w retorcie.

Przekonano się w Monachium w r. 1854, że w piasku surowym nie można było dostrzedz żadnych blaszek złotych, tymczasem w piasku skupionym już je ujrzano, a im skupienie było silniejsze, tém ich więcéj wydobywano. Jednak zbyt wielkiéj nie przynosi to korzyści, albowiem sto takich blaszek, waży zaledwo półtora grana.

Za pomocą rtęci otrzymują w Bawaryi z piasku z Renu złoto. Pozwolenie do tego bierze się od zarządu górniczego, opłaciwszy pewien podatek. Dla małego jednak zysku, czasowo tylko przemysłowcy temu się oddają. Najwięcéj rachują na 20 mark około 5572 r. w. a. rocznie. Takie płuczki znaczniejsze są tylko w Siedmiogrodzie, gdzie prawie wszystkie rzeki mają w swym piasku złoto; trafia się ono nawet w namuliskach, które woda deszczowa z gór sprowadza. Roczne wydobycie tym sposobem złota rachują na 1760 mark około 585,375 złr. w. a.

W wiekach średnich (tj. 12. i 13 wieku) ludność

w Czechach tak dalece oddawała się poszukiwaniu złota przez płukanie, że przez to rolnictwo zaniedbaném zostało, i dopiero musiano takowych poszukiwań zakazać. W dzisiejszych czasach, gdzie chemija tak wielkie zrobiła postępy, można wydobyć złoto z kruszcu lub metalu, o którym dawniéj ani nie marzono, że w nim jest zawarte. Takim sposobem w Reichenstein na Szląsku w dawno zaniechanych kopalniach złota wydobywano go z pozostałości tych, gdzie zaledwo w jednym centnarze 10 gran złota znajdują. (Ciąg dal. nast.

Koncert Stanisława Moniuszki.

Dopiero przy powtórném przedstawieniu „Dziadów" (Widm), mieliśmy sposobność wniknąć w tajniki tego mistrzowskiego utworu, zdać sobie z niego sprawę i ogarnąć harmonijną jego całość. Muzyka Moniuszki ma tę charakterystyczną cechę, że w pierwszéj chwili słuchacz zostając pod jéj czarem, nie umie sobie zdać sprawy z wrażenia jakiego doznaje, jest nieco odurzony; dopiero dłuższe wsłuchanie się odkrywa przed nim zaklęte tajemnice piękna i dlatego nigdy się nie można przesycić. Tę samą cechę mają utwory naszych wielkich poetów, Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Na tych wyżynach sztuki wiecznotrwałéj, pokrewne duchy musiały się zejść ze sobą, słowa wielkiego poety splotły się z melodyjami kompozytora.

Widma są tak zwaném oratorium świeckiém, jakie pisywał Mendelsohn, Bethoven i inni. Jednak żaden z wymienionych nie miał tak trudnego przed sobą zadania jak Moniuszko, odnośnie do tekstu. Ów ustęp „Dziadów" jest dramatyczny — oddać go więc w muzyce bez posiłkowania się dekoracyjami, akcyją, zjawiskami, uczynić go zajmującym i nie monotonnym mimo jego rozciągłości było niemałém zadaniem. Moniuszko wyszedł zwycięzko z téj trudności — brak akcyj zastępuje wielka obrazowość muzyki, słuchacz na drżących tonach muzyki, zdaje się widzieć te lekkie tęczowe widma, przylatujące na „Dziady", fantazyja jego rozbudzona, trzyma ducha w napięciu i ciągłéj uwadze.

Tajemnicze trzy akorda rozpoczynające oratorium, wprowadzają nas od razu w ten świat nadziemski i tajemniczym dreszczem przejmują słuchacza. Pomimo świateł gazowych, czujesz ponurą ciemność cmentarza, trwożne oczekiwanie tych ludzi, którzy skupieni w gromadkę, nieśmiałym i stłumionym głosem odzywają się:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

Strach tamuje dalsze słowa — orkiestra sama prowadzi daléj myśl chóru, wreszcie i ona mdleje, zwalnia, rozpływa się na ciszę — tylko silny głos guślarza przyzwyczajonego do mysteryjalnych obrzędów, wypowiada zaklęcia.

Monotonność tego śpiewu ma w sobie tę samą siłę grozy, jaką mają morskie przestrzenie, lub bezgraniczne stepy. Na zaklęcie: Kto z was wietrznym błądzi szlakiem powtarzane przez chór — odzywa się dziécię— Aniołek „do mamy lecim do mamy" Trudno pomyśleć sobie coś bardziéj tkliwego, dziecinnego nad tę melodyję Aniołka, choćbyśmy ją słyszeli bez słów, zrozumielibyśmy, kto ją śpiewa. Ale zarazem czuć w niéj zagrobowe oddalenie, w połączeniu tego śpiewu z chórami, który powtarza słowa Aniołka, znać wyraźnie przedział świata duchów i ludzi.

Jest to naszém zdaniem jeden z piękniejszych ustępów w Widmach a raczéj najwdzięczniejszy — to splątanie misterne śpiewów Aniołka w błękicie, z śpiewem chóru, który bez trwogi chwyta jego słowa i powtarza z matczyną czułością — zdolne rozrzewnić każdego. Ustęp ten kończy się chorałem pełnym spokoju i pobożności:

Bo słuchajcie i zważajcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu,
Kto nie doznał goryczy ni razu —
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

Następuje druga straszna część — rozpoczyna ją chór silnym wykrzykiem: „Wszelki duch", głosy mącą się i mięszają, każdy woła i pokazuje z trwogą na nowe widmo, które z przerażającym jękiem odzywa się: „dzieci nie znacie mnie? ja nieboszczyk wasz pan." Nielitościwy chór sów, kruków (za życia poddani jego, uciskani przez niego) goni za widmem, szarpie mu wnętrzności i odgania od kaplicy. „Nie znałeś litości panie — i my nie znamy". Muzyka w tém miejscu okropna, przeraźliwa, pełna wrzasków piekielnych skrzeczenia, jęku, wycia. Kilkakroć słyszeliśmy ten ustęp i za każdą razą zmęczył nas swoją okropnością, jak strach i przywidzenia nocne.

Nareszcie ukazuje się trzecie widmo: „Dziewczyna", dziewczyna, która nigdy nie kochała, pustowała, weseliła się, bawiła motylkiem, barankiem — a drwiła z chłopców co za nią szaleli. — Za to po śmierci nie może dostać się do nieba, nie może dotknąć się ziemi, i lekkim gnana wiatrem, błądzi po powietrzu.

Tu już charakter muzyki zmienia się zupełnie, krótkie akorda wyrażają jakby lekkie powiewne stąpanie dziewicy po powietrznych szlakach. — W ślicznym *duecie* N. 9. i w następującéj potém piosence dziewczyny jest prawdziwa sielanka, spokojna, prosta, swojska a przytém dziwnie ponętna. — Kompozytor przegradzając Aniołka i Dziewczynę, mających mniéj-więcéj ten sam charakter łagodny, rzewny, piekielnym chórem kruków i jękiem widma uniknął monotonności i sprawił, że słuchacz ma ciągle natężoną uwagę i wzrastające zajęcie.

Oratorium zakończa chór słowami, które tak w poemacie jak i w kompozycyi muzycznéj są ramami obrazu:

Ciemno wszędzie —

Zakończając sprawozdanie o koncercie, nie możemy

nie wspomnieć o śpiewie panny Gabryjeli V. — Jéj czysty, srebrny głosik, giętki w najtrudniejszych przejściach, jest jakby stworzony do śpiewu Aniołka w błękicie. Publiczność nie mogła się wstrzymać, by muzyki nie przerywać oklaskami dla p. V.— Ale może większą pochwałą niż poklaski, był wyraz rozpromienienia na twarzach słuchaczy podczas Jéj śpiewu. Żałować przychodzi, że tak mało mamy sposobności podziwiać talenta wokalne w naszém mieście. — Śpiew Guślarza i Widma oddał p. Köhler, artysta teatru warszawskiego, z siłą, czystością, pięknością i deklamacyją, która przeszła nasze oczekiwanie. — Miłą i niezatartą pamiątkę zostawił Moniuszko przedstawieniem „Dziadów“. Jak słyszymy i Praga wnet zachwycać się będzie jego utworami — a p. Duniecki z „Halką“ wybiera się do Lwowa.

Dla tych, którzy jeszcze owego Oratorium nie słyszeli, nadarza się sposobność szczęśliwa. W poniedziałek bowiem na rzecz towarzystwa akademickiego Moniuszko jeszcze raz powtórzy je. Program koncertu będzie rozszerzony, p. Köhler odśpiewa „Czaty“ i parę innych utworów.

Z niewoli rosyjskiéj powracają codziennie w wielkiéj liczbie żołnierze z ostatniego powstania polskiego. Bez odzienia, przytułku i zarobku chodzą po mieście żebrząc wsparcia, a zamiejscowych odstawiają c. k. władze do ich gmin, nieraz boso i głodnych. I dochodzą z tamtąd głosy oburzenia, że Kraków graniczne i stołeczne miasto, nic na to nie radzi. Jest to rzecz straszna, taki powrót i takie przyjęcie od swoich. Nie pisaliśmy dotąd o tém, bośmy słyszeli o składkach i że na wsparcie powracających ma być urządzona loteryja fantowa. Nie wiemy, czy tak będzie; ale widzimy złe, dotykamy się go i widzimy, że wzrasta. Przypominamy więc tę sprawę sercu pań naszych — tylko one jedne mogą tu skutecznie poradzić. Na środkach nie braknie, byle był ktoś, coby chciał i umiał o to się troszczyć. W powodzi balów znalazłby zapewne gorące przyjęcie bal na ten cel i c. k. władze nic przeciwko temu mieć nie mogą.

ROZMAITOŚCI.

Karnawał. Kraków się bawi, bawi się z takim gorączkowym pospiechem, że trudno nam nadążyć ze sprawozdaniem z koncertów, balów, redut, teatrów. Ledwie przebrzmiał nam w uszach ostatni mazur balu akademickiego, już słyszemy nową zapowiedź balu resursy mieszczańskiéj (26go stycznia) — balu techników (5go lutego) — balu artystyczno-literackiego (9go lutego). Między przestankami tych balów odzywa się: to poważne „Oratorium“ Moniuszki — to „Halka“, ściągająca zawsze tłumnie publiczność do teatru — to „Verbum Nobile“ — I dramat nie próżnuje: we czwartek dawano jedną z najlepszych komedyj Shakespeare'a „Wiele hałasu o nic“. — Dodajmy do tego niedzielne reduty, a nie zostanie nam prawie żaden dzień w tygodniu do wytchnienia. Ruchliwość obecna naszego miasta nie ogranicza się na salach balowych i teatrach — poza granicami zabawy panuje również ruch wielki w kółkach wyborczych — może także nie bez szału, komedyj i maskarady — ale ta rzecz do publicystyki należy, a nie do skromnych ram naszéj kroniczki; — my wrócimy do rzeczywistéj maskarady. Było dotąd balów maskowych trzy: dwa pierwsze liche, trzeci pełniejszy, ale nie tak świetny jak zeszłego roku. Coraz trudniéj znaleść dowcipne maski, dobrze jeszcze, że cię stereotypowém: „znam cię“ zaczepią.

Również nie wiele było publiczności na pierwszém przedstawieniu jednoaktowéj opery Moniuszki: „Verbum nobile“. Oceniono ją widać po wzroście, bo wielu jéj małość odstręczyła. Tymczasem jest to utwór tak starannie i z precyzyją opracowany, tak wykończony, że wcale nie ustępuje „Halce“ pod względém muzycznym. Powiedziałbym tylko, że *recitativa* są zbyt długie i monotonne. Obszerniejsza recenzyja tego utworu pióra p. Dunieckiego, umieszczona w zeszłym kwartale, uwalnia nas od rozpisywania się nad tém; przestaniemy tylko na podaniu treści, która równie jak muzyka w skromnych rozmiarach ma całość i skończoność artystyczną. Rzecz rozpoczyna się przed szlacheckim dworkiem — lud wiejski zgromadzony przed oknami i gankiem ubranym w kwiaty, śpiewa swojemu dziedzicowi. Te śpiewy i kwiaty przygotował Stach, młody chłopak, który w skutek nieszczęśliwego przypadku w podróży we dworku gościnne znalazł przyjęcie — a że we dworku była panna, więc i miłość się znalazła. Wiemy więc dla kogo Stach niespodziankę urządził. Ojciec rad widzi to zbliżenie się młodych, radby ich widział złączonymi, ale nie może na to pozwolić, bo swemu przyjacielowi Pakule dał ongi słowo, że ich dzieci się pożenią. Przybywa też niebawem pan Pakuła, żądać dotrzymania *verbum nobile*. Smutnéj pannie zaleca swego syna w ślicznéj aryi: „Dam ci ptaszka jakich mało“. — Panna płacze, ojciec jéj krzywy, pan Pakuła zarzuca mu niesłowność; gdy wtém wchodzi Stach, w którym pan Pakuła poznaje swego syna — ztąd nagły przechód ze smutku w radość. Kwintet z Chórem zakończają operę. — Pakułę grał p. Köhler z Warszawy, a grał z taką swobodą, z takim prawdziwie szlacheckim humorem i prawdą, a przytém śpiewał tak dźwięcznie i z siłą, że niewiedzieliśmy czy pierwéj grze, czy śpiewowi dać poklask należny.

— **Bal artystów i literatów 9. lutego.** Do udzielania biletów wstępu w porozumieniu z zarządem balu, upoważnionych jest kilkadziesiąt osób — na mocy zaproszeń, które posłano redakcyom i towarzystwom, można dostać biletów w księgarni Fr. Grzybowskiego. Wszystkie bilety są imienne, służą zarówno na salę jak na galeryją.

— **Z nowości księgarskich** u Fr. Grzybowskiego w Krakowie możemy polecić: Elpidon, Młodzi i Starzy, 2 tomy, 5 złr. — Pamiętniki z XVIII. wieku, t. VII., (czasy Stanisława Augusta Poniatowskiego); 2 złr. 90 c. — Kraszewski J. I., Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stan. Augusta; 5 złr. — Malczewski A., Marja, (wyd. ilustr.); 19 złr. — Obraz historyi powszechnéj od r. 1830 do 1860; 1 złr. — Kraszewski J. I., Na Wschodzie, obrazek współczesny z natury; 2 złr. 60 c. — Sand G., Le dernier amour; 2 złr. 10 c. — Memoires d'une enfant, par Mme. Michelet. — Troschel, Snopek Melodyj z rodzinnéj niwy; 2 złr. 75. — Wanka, Chant sans paroles; 1 złr. — Willmers, Souvenir de Pesthe, (Transcription sur des thèmes favoris hongroies); 1 złr. 60 c. — Willmers, Rêverie au bord de la mer; 1 złr. 30 c. — Witwicki, Polonez Kościuszkowski; 2 złr. — Witwicki, Deux Mélodies Russes; 1 złr. — Wysocki, Grand Krakowiak; 1 złr. 50 c. Załuski, Six etudes 1 złr. 50 c. — Załuski, 2 Mazourkas; 1 złr. — Zarzycki, Elegie, Plainte, Prière Trois Poesies Musicales; 80 c. — L'Art du Chant — 20 vocalises elementaires et progressives pour mezzo soprano ou contralto — par Mathilde Castrone Marchesi; Lipsk.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.